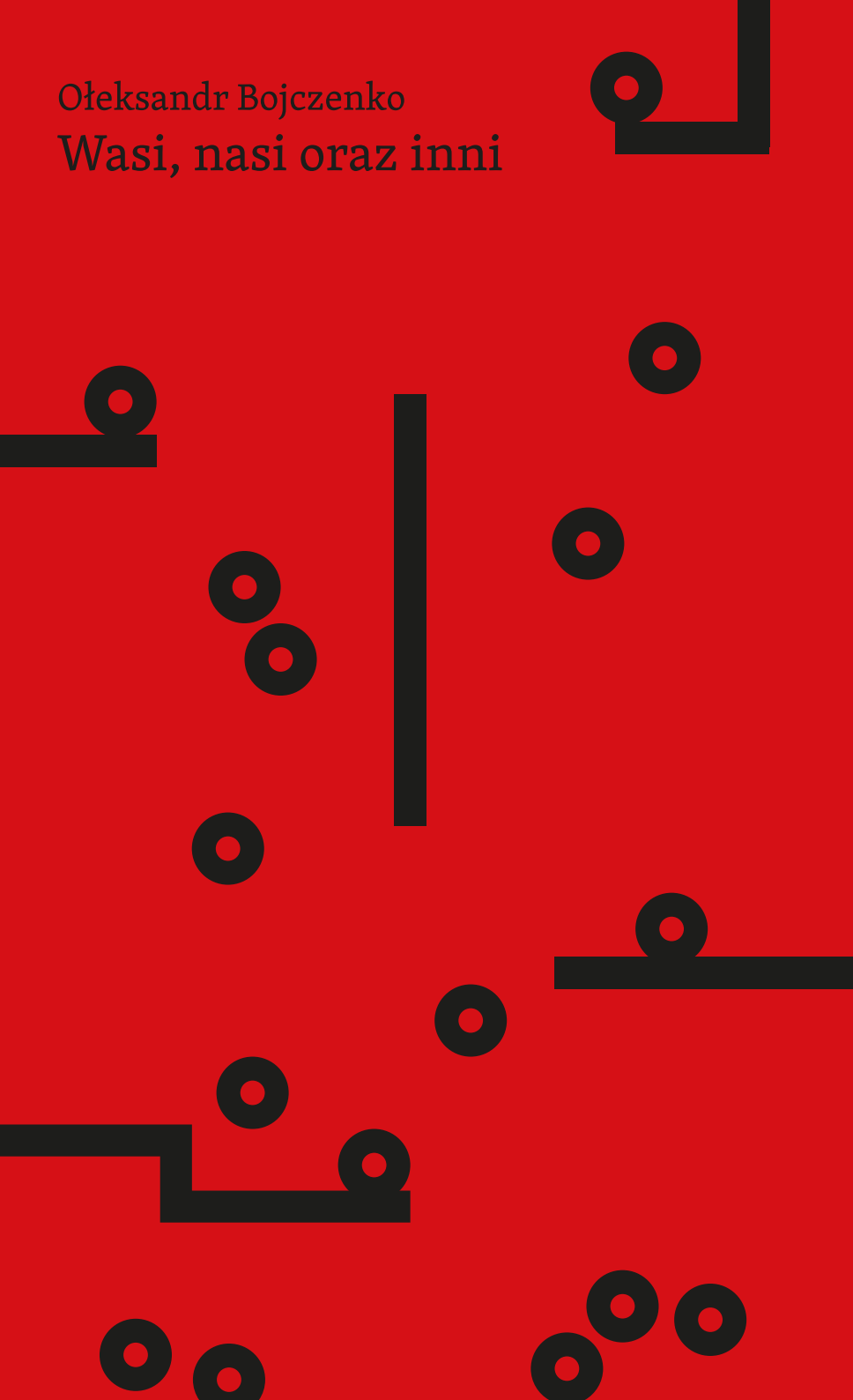


Ołeksandr Bojczenko
Wasi, nasi oraz inni



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

Wschodni Express
Seria wydawnicza

11111

Ołeksandr Bojczenko

Wasi, nasi oraz inni

Szkice o pisarzach i nie tylko

Przełożyła Natalia Bryżko-Zapór

HAJH BAHJH

Warsztaty Kultury

Lublin 2018

Zamiast wstępu

Raport z oblężonego miasta

Zdarzają się w życiu takie zagadkowe, opisywane w literaturze chwile, kiedy człowiek z jednej strony w czymś uczestniczy, w jakimś ważnym, może nawet epokowym wydarzeniu, a jednocześnie obserwuje samego siebie jak gdyby z boku albo z góry. Autobiograficzny bohater Joyce'a Stefan Dedalus na przykład przeżywa takie samowyobcowanie w czasie pierwszej randki. Ze mną coś takiego zdarzyło się na Majdanie, nocą z 10 na 11 grudnia. Dla mnie zresztą to także była noc pierwszej „randki”. Spotkania z Berkutem¹. Na szczęście bez głębszego, cielesnego zbliżenia.

Oto stałem tam i patrzyłem sam na siebie obcymi oczami, podziwiałem wypożyczony hełm czołgisty na własnej głowie i myślałem o Albercie Camusie. Słowo daję. Stałem i myślałem o Albercie Camusie, zdając sobie jednocześnie sprawę, jak bardzo absurdalna, w egzystencjalistycznym sensie tego słowa, jest to sytuacja: stać na Majdanie i myśleć o Albercie Camusie. Nie o kozackiej chwale ani nie o zaczadzonych „wrogach naszych i rosie na słońcu”², ani nawet nie o Faulknerze czy Salingerze, którzy mi zawsze przychodzą na myśl, gdy tylko zamajaczy na horyzoncie temat Ukrainy. Nie, stałem i myślałem o Albercie Camusie, jego powieści *Dżuma* i jej bohaterze – lekarzu Rieux.

1 Formacja milicyjnych służb specjalnych, popularnie nazywana „gwardią Janukowycza” użyta przez niego do różnych zadań w czasie masowych manifestacji na kijowskim Majdanie w 2014 roku, w tym brutalnej pacyfikacji demonstrantów. Po zmianie władzy rozwiązana przez ministra spraw wewnętrznych Ukrainy – ten oraz wszystkie pozostałe przypisy w książce pochodzą od tłumacza.

2 Parafraza słów z ukraińskiego hymnu „Згинуть наші воріженьки, як роса на сонці” – zginą nasi wrogowie jak rosa na słońcu.

Zwykle w takich okolicznościach myśli ludzi krążą według pewnego schematu. Pytamy siebie nawzajem: „Słuchaj, naprawdę wierzysz, że zwyciężymy?”. Gwoli ścisłości, to ja akurat o to nie pytam. Staram się też nie odpowiadać. Nie dlatego, że nie wierzę w to konkretne zwycięstwo, ale po prostu sam wyraz „wiara w zwycięstwo” człowiekowi w pewnym wieku trąci drwiną. Wiara w zwycięstwo? Piękna sprawa. Gdy się jest sportowcem albo adeptem szkoły wojskowej, w zwycięstwo trzeba wierzyć obowiązkowo. Bo jak inaczej można byłoby wytrzymać rysującą się przed człowiekiem perspektywę całego życia, jeśli miałyby ono przeminąć na beznadziejnym oczekiwaniu tej najważniejszej chwili, która z definicji nigdy nie nastąpi? Ale jeśli trochę się już pożyło na tym świecie i zdążyło się mu poprzyglądać, wiarę tę zastępuje wiedza, że zwycięstwo człowiekowi nie jest pisane. Co tam zwycięstwo! Człowiekowi nie jest pisane nawet porządnie o nie powalczyć. Przeznaczone mu jest jedynie wyjść na pole życiowej bitwy i błąkać się po nim tak długo, aż wreszcie poczuje swoją całkowitą bezradność, bezsens i rozpacz. Tak w każdym razie uważał pewien bohater Faulknera.

Jeden zaś z najbardziej znanych bohaterów Salingera już w młodym wieku doszedł do wniosku, że nie warto grać w cudzą grę według cudzych reguł. Zwłaszcza gdy po twojej stronie nie widać tłumu prawdziwych zuchwalców (w oryginale: *there aren't any hot-shots*). Dodać trzeba, że ten najbardziej znany bohater Salingera, gdyby spojrzeć na sprawę zwyczajnie i po ludzku, wielkich przykrości, mówiąc oględnie, nie zaznał. Ponieważ w tej jego Ameryce istnieją jednak jakieś tam reguły, a wynik gry zależy od liczby i sprawności zuchwałych graczy. U nas natomiast ten wynik wyznaczają tak kompletnie zdegenerowane wyrzutki, że samo życie z nimi na wspólnym terytorium i w tym samym czasie wydaje się nie do zniesienia. O jakiej grze i jej regułach możemy

tu mówić? I o jakiej wierze w zwycięstwo? Tu, gdy patrzy się na całe to plugastwo, można się pozbyć wiary w Boga (jeśli jeszcze komuś została), nie popełniwszy przy tym większego grzechu.

Słowem, gdy tylko w ostatnim czasie pojawia się temat naszych szans na lepszą przyszłość, od razu kojarzy mi się *Wściekłość i wrzask* i *Buszujący w zbożu*. Ale tamtej nocy na Majdanie, szukając wewnętrznej otuchy, myślałem o lekarzu Rieux z *Dżumy Alberta Camusa*, mimo że ani jednego, ani drugiego nie da się zaliczyć do optymistów. Tymczasem ktoś właśnie taki był mi potrzebny, bo w towarzystwie optymistów czuję się jeszcze bardziej beznadziejnie niż w towarzystwie pesymistów.

Tak więc lekarz Rieux, w odróżnieniu od wielu swoich naiwnie optymistycznych czy po prostu dalekich od medycyny współmieszkańców, rozpoznaje dżumę na długo przed wybuchem epidemii na wielką skalę. I przeciwstawia się jej z całych sił. Rozumie, że zaraza jest silniejsza od niego i zdolna do zdziesiątkowania choćby i połowy ludności. Rieux wie, że serum na razie nie działa i że dżuma nie uspokoi się dopóty, dopóki nie osiągnie apogeum swojej mocy – dopiero wtedy być może zachłynie się nadmiarem samej siebie. I nie wierzy w zwycięstwo albo, mówiąc dokładniej, w ogóle nie zwraca sobie głowy takimi bzdurami. Za to kontynuuje walkę. Chociażby dlatego, że w przeciwnym razie jego istnienie straciłoby sens. A jeszcze dlatego, że w filozofii życiowej też istnieją aksjomaty, które nie wymagają dowodów. W szczególności taki, że niezależnie od tego, kto w ostateczności wygra, człowiek, chcąc pozostać człowiekiem, w żadnych okolicznościach nie ma prawa stanąć po stronie dżumy.

Mniej więcej takimi rozmyślaniami dodawałem sobie otuchy i raptem zauważyłem, że niebo nad ulicą Instytucką okryło się purpurą. Naszych przybywało, coraz częściej

widziałem twarze znajomych i przyjaciół. A potem nad Majdanem zrobiło się całkiem jasno. Bakcyle na rozkaz wycofywały się do swoich epidemicznych ognisk. Do zwycięstwa, jak zwykle, było jeszcze bardzo daleko. Ale tej nocy na pewno nie przegraliśmy.

Rozdział 1. O waszych

Życie Sokratesa, śmierć Syzyfa

Ostateczna marność najtrudniejszych pytań czystego rozumu polega według mnie na tym, że teoretycznych odpowiedzi na nie można z łatwością uniknąć i nie wpłynie to w żaden sposób na moje istnienie. Natomiast ostateczna ważność najprostszych pytań egzystencjalnych polega na tym, że praktycznych odpowiedzi na nie prędzej czy później nie uniknie nikt. Przy tym – dopóki to „prędzej czy później” nie nastąpiło, trudno pozbyć się strachu i generowanego nim rozdrażnienia. Bo nie wiadomo nawet, czego należy się bać: śmierci (jeśli po niej nic nie ma) czy kary (jeśli po niej coś jest)?

Tak oto postaci historyczne bądź mitologiczne, które potrafiły bez hysterii przyjąć dowolny wariant własnej przyszłości, w moim przekonaniu pozostają bodaj jedynymi niekwestionowanymi bohaterami. Jeśli wierzyć Platonowi, historycznym przykładem bohatera pozbawionego strachu przed śmiercią był Sokrates, który zanim wychylił kielich z cykutą, z uśmiechem wyjaśnił zasmuconym przyjacielom, że głównym przedmiotem zajęć prawdziwego filozofa jest, tak czy owak, umieranie i śmierć. Byłoby więc nonsensem narzekanie na coś, w czym się uprawiał i do czego przygotowywał przez całe życie. Jeśli zaś wierzyć Albertowi Camusowi, mitologicznym przykładem bohatera, który przezwyciężył nałożoną nań pośmiertną karę, był Syzyf. Przezwyciężył, bo uznał ją za przeznaczenie i pogodził się z nim. Tak to jest, jeśli im wierzyć. Mnie jednak uwierzyć Platonowi i Camusowi przez dłuższy czas się nie udawało i zapewne nie udałoby się do dziś, gdyby nie nadarzyła się możliwość spotkania, słuchania i czytania Leszka Kołakowskiego.

Filozof, historyk idei, badacz religii, prozaik, eseista, autor trzydziestu książek i około 400 publikacji z różnych gatunków, pierwszy laureat ufundowanej przez Bibliotekę Kongresu USA nagrody Johna Klugego (analog Nobla dla przedstawicieli nauk humanistycznych), Kołakowski w ostatnich latach skłaniał się bardziej do formy ustnej wykładania swoich myśli. W ten sposób powstał cykl audycji, w których „polski Sokrates”, podobnie do swojego ateńskiego poprzednika, „sprowadził filozofię z nieba na ziemię” i uczynił dostępną dla szerokiego audytorium.

Oczywiście filozofów na świecie jest dostatek. Znacznie mniej spośród nich stanowią mędracy. Kołakowski, znowuż jak Sokrates, był nie tylko filozofem, był mędrce – przenikliwym, sceptycznym, ale też pogodnym, skłonny do wybaczenia ludziom ich słabości, ironizowania na temat własnych osiągnięć: „Gdy filozof dojdzie do końca drogi do mądrości – mówił pan Leszek – dowiaduje się rzeczy, jakie ludzie prości i mądrzy wiedzieli od zawsze... nie mam żadnych ambicji, by być nauczycielem, który otwiera nowe horyzonty. Moje ambicje są małe. Zakładam, że nie mówimy w filozofii niczego nowego. Jesteśmy epigonami – ale to nas nie martwi”.

Więcej o paralelach z Sokratesem. O ile nam wiadomo, ateński dialektyk próbował znaleźć złoty środek między dwiema skrajnościami filozoficznymi swojej epoki. Wyraźciami pierwszej byli absolutnie poważni kapłani starszego pokolenia, którzy filozofię traktowali jako tajemniczą, sakralną wiedzę dla wybranych, wskutek czego uprawianie jej przypominało sekciarstwo. Na antypodach zasiadali sofiści, w wesołym błazeńskim stylu prześmiewający wszystkie bez wyjątku tradycje i kwestionujący samą możliwość istnienia prawdy. Sokratesa nie satysfakcjonował ani pozbawiony żywych refleksji spizowy patos kapłanów, ani totalny nihilizm błaznów. „Wiem, że nic nie wiem” – twierdził Sokrates, lecz nie oznaczało to, że wcale nie musi szukać prawdziwej

wiedzy. Prawda istnieje w każdym z nas, lecz my odbieramy sobie szansę wydania jej na świat. Wobec tego jedynym wyjściem jest próba stania się filozoficzną akuszerką. Dwa i pół tysiąca lat po Sokratesie Leszek Kołakowski opublikował podręcznikowy obecnie esej *Kapłan i błazen*. Był to nie tylko pierwszy z wielu tekstów, które wkrótce przyniosły filozofowi międzynarodowe uznanie, to był początek jego „akuszerskiej działalności”, która pomogła w przyjściu na świat nowej polskiej inteligencji – tej inteligencji, która potrafiła zjednoczyć się z robotnikami w ruchu „Solidarności”.

Droga Kołakowskiego do mądrości zaczynała się od niezbyt mądrej, choć historycznie uzasadnionej i biograficznie zrozumiałej fascynacji ideą komunistyczną. Po stracie ojca w czasie wojny (zginął w gestapowskim więzieniu) młody Leszek z entuzjazmem przyjął przyjście Armii Czerwonej i nawet wstąpił do PZPR. Wystarczył mu jednak jeden wyjazd do ZSRR, żeby dojrzeć, jak daleki od ideałów socjalizmu był „tatarski reżim Lenina” i zrewidować własne poglądy. Być może późniejsza rezygnacja dojrzałego już Kołakowskiego z bezpośredniego udziału w życiu politycznym była w jakiejś mierze wynikiem tamtego przejrzenia na oczy?

W każdym razie później na temat „dyskursu” ogólnopolitycznego pisał on w sposób następujący: „Język polityki jest językiem kłamliwym z natury rzeczy. Kłamliwym nie w tym sensie, żeby wszystko w nim było kłamstwem, ale w tym, że wszystko jest albo niedopowiedziane, albo tak powiedziane, żeby mogło uchodzić za coś ważnego i prawdziwego, chociaż tak nie jest”.

Od 1956 roku prace Kołakowskiego (pierwszą był artykuł *Czym jest socjalizm*) zaczynają krążyć w drugim obiegu. W ciągu dziesięciu lat młody filozof pełni podwójną rolę: z jednej strony dysydenta, z drugiej doktora filozofii, potem profesora, kierownika Katedry Historii Filozofii Nowożytnej Uniwersytetu Warszawskiego.